

Śmierć za Sienkiewicza! - Marek A. Koprowski

Nad środkowym Dniestrem, nad dopływami tej rzeki – Zbruczem, Smotryczą i Uczycą – rozpościera się Podole. Mieszkańcy tej krainy, od średniowiecza związanej z Rzeczpospolitą, po agresji sowieckiej z 1939 roku zostali siłą oderwani od Macierzy. Choć jednak współcześnie tereny te wchodzą w skład Ukrainy, wciąż żyją tu jeszcze potomkowie Polaków, którzy zamieszkiwali Bar, Mańkowce czy Strugę z dziada pradziada, nim granice zostały przesunięte, a z każdego władza ludowa starała się zrobić Ukraińca.

XX-wieczna historia Polaków na Podolu – podobnie jak na Wołyniu – pisana była krwią, bólem i walką: o chleb, o przetrwanie, o możliwość wyznawania „polskiej” wiary, katolicyzmu.



Nad środkowym Dniestrem, nad dopływami

tej rzeki – Zbruczem, Smotryczą i Uczycą – rozpościera się Podole. Mieszkańcy tej krainy, od średniowiecza związanej z Rzeczpospolitą, po agresji sowieckiej z 1939 roku zostali siłą oderwani od Macierzy.

XX-wieczna historia Polaków na Podolu – podobnie jak na Wołyniu – pisana była krwią, bólem i walką: o chleb, o przetrwanie, o możliwość wyznawania „polskiej” wiary, katolicyzmu.

Marek A. Koprowski

Śmierć za Sienkiewicza! Prześladowania Polaków na Podolu 1918-1991

rok wydania: 2015

Wydawnictwo Replika

W kaplicy ormiańskiej kamienieckiej katedry wśród wielu umieszczonych tam tablic epitafijnych, poświęconych wybitnym osobom, szczególnie zasłużonym dla kamienieckiego Podola i całego Podola, największe wrażenie robi tablica następującej treści: „Pamięci katolików, którzy wierze swej dali świadectwo, których imiona starto i wdeptano w ziemię, którzy knowania bestii widzieć nie zdążyli”. Jest ona poświęcona pamięci tysięcy mieszkańców Środkowego Naddniestrza zamordowanych w latach dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych przez sowieckich oprawców. Kamieniec, pełniący wówczas funkcję stolicy obwodu, był siedzibą jednej z większych katowni GPU-NKWD na środkowej Ukrainie, która wciąż czeka na swego badacza. Jak dotąd tylko w niewielkim zakresie prawda o jej funkcjonowaniu ujrzała światło dzienne, choć przynajmniej jedno z miejsc, w którym spoczywają jej ofiary, jest już oznaczone.

Z rozmów z najstarszymi mieszkańcami Kamieńca można się jednak dowiedzieć, że miejsc mordy, znajdujących się dawniej na obrzeżu Kamieńca, a dziś niemalże w jego centrum, było więcej.

Odwiedzający Kamieniec Polscy turyści, wizytujący zwłaszcza twierdze i kościoły, nie zdają sobie sprawy, że ich mury są obficie zroszone krwią nie tylko pana Wołodyjowskiego i innych obrońców walczących z turecką nawałą, ale także męczeńską krwią Polaków zamieszkujących

Podole. Mieściły się w nim dwa więzienia, w których mordowano Polaków: męskie w klasztorze dominikanów i żeńskie w klasztorze dominikanek. Relacje tutejszych Polaków są wstrząsające. Praktycznie każda ze wsi złożyła obfitą daninę krwi. W 1937 roku z każdej aresztowano po kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt osób, które nigdy już nie wróciły do domów. Jedynym ich przestępstwem było to, że byli Polakami.

Świadkiem tamtych wydarzeń był między innymi Henryk Radziewski. Z jego relacji wynika, że jeszcze długi czas po aresztowaniu jego ojca rodzina ponosiła konsekwencje tego, że uznano ją za bliskich wroga narodu.

— Urodziłem się w 1923 roku we wsi Zawadówka w powiecie kamienieckim — opowiada. — Mój ojciec Kazimierz był Polakiem pochodzącym z Białorusi. Odbywał służbę wojskową w carskiej armii i na Ukrainie poznał moją mamę. Postanowił tu zostać i osiedlić się po ożenku w Zawadówce. Pracował w kołchozie jako murarz. Wychowywał nas, czyli mnie i siostrę, na Polaków i osoby bardzo religijne.

W 1933 roku głodu nie odczuwaliśmy, bo tato poszedł budować Bondarówkę koło Husiatynia, a tam w ramach zapłaty dostawał kaszę. Lata trzydzieste były jednak bardzo trudne.

Byłem jeszcze chłopczykiem, nie rozumiałem, co się dzieje, ale instynktownie wyczuwałem, że to coś niedobrego. Widziałem, jak ścinają przydrożne krzyże, rozbijają figurki. Do domu przychodziły bandy młodych ludzi, którzy zabierali wszystko do ostatniego ziarenka.

W 1937 roku z naszej chaty zabrali wszystko. Szukając nie wiadomo czego, rozebrali nawet stodołę i część chaty. Niczego nie znaleźli... i zabrali ojca. Pamiętam to jak dziś. Padał deszcz, była noc. Razem z bratem spaliśmy w stodole. GPU zabrało nasze łóżka podczas ostatniej wizyty w domu. Nagle coś mnie obudziło. Przez szpary w deskach zobaczyłem, że jakaś podwoda zajechała na nasze podwórko.

Ktoś wszedł do naszej chaty. Po jakimś czasie wyszedł, podwoda odjechała, wszystko ucichło. Mój brat spał i o niczym nic nie wiedział. Ja też wkrótce ponownie usnąłem. Wstajemy rano, a mama mówi: Tatę zabrali! Zamurowało mnie. Mama od razu pobiegła na wieś. Szybko się okazało, że tej nocy aresztowano w wiosce dziesięciu mężczyzn będących głowami rodzin.

Nikt nie wiedział, co się stało i z jakiego powodu. Jeden tylko Alasko powiedział krótko: Dziewczyny, jesteście wdowami, możecie powtórnie wychodzić za mąż.

Tatę, jak się później dowiedziałem, zawieźli do Kamieńca Podolskiego, gdzie poddano go brutalnemu śledztwu. Wyłamali mu palce, zrywali paznokcie... Mama usiłowała podawać mu paczki, ale żadna z nich nie dotarła. Pod koniec 1937 roku, na pewno przed Nowym Rokiem, ojciec został rozstrzelany...

Z innych wiosek też aresztowano wiele osób. Zabierano przede wszystkim tych, którzy trzymali się blisko parafii, księdza, wykazywali jakąś niechęć do władzy radzieckiej, a przede wszystkim: byli Polakami. Dla takich ludzi litości nie było. W pierwszej kolejności zabierano tych,

na których donos złożyli komsomolcy. W naszych stronach każdemu z nich płacili za wydanie człowieka po trzysta karbowańców! Aresztowanych wywozili nie tylko do Kamieńca, ale także do Chmielnickiego i Felsztyna, gdzie mieściły się główne katownie GPU na Podolu.

No więc ojca zabrali. Mimo że byłem dzieckiem mającym piętnaście lat, musiałem iść do pracy w kołchozie. Zatrudniono mnie w punkcie wydawania posiłków dla kołchoźników w Wiśniowczyku.

Nalewali mi do dużego termosu zupy lub nakładali kaszę. Brałem wszystko na plecy i roznosiłem po polach pracującym kołchoźnikom. Była to ciężka robota, ale zawsze mogłem przynieść do domu jakiś kęs dla mamy, brata i siostry, którzy byli głodni.

Po jakimś czasie oświadczone nam, że w ciągu dwudziestu czterech godzin musimy się wynieść co najmniej o sto kilometrów od dotychczasowego miejsca zamieszkania. Łatwo było wydać takie polecenie, trudniej wykonać. Udało nam się jednak dzięki dobrym ludziom znaleźć przytulisko we wsi Mała Tatarka koło Berdyczowa, w obwodzie żytomierskim. Zjawiliśmy się tam tylko z tym, co mieliśmy na sobie. Ja musiałem iść do kołchozu i orać koźmi pole. Mama z rodzeństwem znaleźli zatrudnienie w kołchozowym składzie nasiennym. Traktowano nas tam jak piąte koło u wozu. Musieliśmy często pracować nawet w niedziele, od rana do wieczora. Pamiętam, że jednej niedzieli musieliśmy w kołchozowym magazynie przerzucić pryzmę ziarna z jednego miejsca na drugie. Po tej robocie bolała mnie każda kosteczka...

W 1939 roku mama na piechotę ruszyła w rodzinne strony. Udało jej się załatwić zgodę na nasz powrót i odpowiednie dokumenty. Wróciliśmy i zamieszkaliśmy w Wiśniowczyku. Nie żyło się nam lekko. Nadal uważano nas za „wragów naroda”. Bardzo często za plecami słyszałem słowa „polska mordą”. Po wybuchu wojny, gdy Niemcy wkroczyli na Podole, zostałem wywieziony na roboty. Po powrocie na Ukrainę poszedłem do pracy w kołchozie. Mama też w nim pracowała. Nie dano jej spokoju, przypominając, że była żoną „wraga naroda”. Mając pięćdziesiąt trzy lata, nie była w stanie wyrobić kołchozowej normy. Oskarżono ją, że jest „spekulantką” i „samogonnicą”. Kołchozowy sąd skazał ją na osiem lat więzienia. Milicjant ze Smotrycza, zdziwiony wyrokiem, doradził mi, żebym natychmiast napisał skargę i zebrał podpisy kołchoźników. Jak mi poradził, tak uczyniłem.

Pod moją skargą podpisało się stu czterestu ludzi. Zaniósłem pismo do rejonowego sekretarza partii w Smotryczu. Po tygodniu mamę zwolniono; partia uznała, że skazano ją bezprawnie.

Razem z mamą uznaliśmy, że jednak musimy opuścić nasze stare strony, bo tu i tak nie dadzą nam żyć. Nie było to jednak łatwe; musiała się zgodzić głowa kołchozu. Tylko wtedy milicja wydawała paszporty umożliwiające wyjazd poza rejon. Poszedłem do głowy kołchozu i proszę, żeby mi wydał odpowiedni dokument. Ten zdumiał się i zapytał dlaczego. Odpowiedziałem mu, że wciąż jesteśmy tu uważani za „wragów naroda”, nie dają nam żyć i stale komuś jesteśmy nie na rękę. Mężczyzna zgodził się i wyjechaliśmy do Kraju Ałtajskiego na Syberii, gdzie osiedliliśmy się w mieście Rubcowsk.

Warunki życia mieliśmy bardzo trudne. Żyliśmy w dwanaście osób w mieszkaniu o powierzchni czternastu metrów kwadratowych. Ruszyć się nie było gdzie. Sam pracowałem w „ciężkiej kuźni” jednej z fabryk. Działał tam ciężki młot, którego uderzenie słyszeć było z odległości ośmiu kilometrów; była to praca ponad moje siły. Zwolniono mnie z niej z grupą inwalidzką.

Po paru latach udało nam się przenieść się do Gródka, blisko rodzinnych stron. Zatrudniono mnie jako ślusarza w jednej z fabryk. Zawsze byłem dobrym pracownikiem, ale nigdy nie dostałem żadnej pochwały, bo chodziłem do kościoła. Dobry pracownik do kościoła zaś chodzić nie mógł. Moja mama, która tyle przeszła, wychowując w sumie pięcioro dzieci, dożyła do dziewięćdziesiątego drugiego roku życia. Od dawna już jestem na emeryturze, nadal chodzę do kościoła, choć już tylko raz w tygodniu, bo mam kłopoty z nogami.

W 1937 roku w katowni GPU w Kamieńcu Podolskim zginął kwiat wiejskiej inteligencji Podola, w tym zwłaszcza posiadacze ksiązek Henryka Sienkiewicza. Opowiedziała mi o tym Eugenia Kuźmińska ze Stacji Dunajowce, której dom stalinowscy oprawcy przeczesał wyjątkowo dokładnie.

— Urodziłam się w 1925 roku w wiosce Mycowce — mówi pani Eugenia.
— Mój ojciec miał na imię Kazimierz, a mama Honorata. Ojciec pochodził z bardzo pobożnej i inteligentnej rodziny. Brat męża, Zygmunt, był organistą w kościele w Mukarowie, wykształconym we Włoszech. Mój ojciec w naszej wsi uchodził za najbardziej wykształconego i mądrego. Miał bardzo dużo ksiązek, często czytał.

Wieczorami zbierali się ludzie, żeby przy herbacie z samowara porozmawiać o sprawach dotyczących wsi. Zawsze przy takich okazjach tato czytał fragment jakiejś książki historycznej, po którym zaczynała się dyskusja, kończąca się modlitwą. Tato z mamą prowadzili też różaniec w kościele. Tato służył zresztą do Mszy świętej. Rodzice dbali o to, żebym z dwójką rodzeństwa zawsze w niedzielę uczestniczyła w Eucharystii. Mimo to udało mi się ukończyć siedem klas w polskiej szkole w Dunajowcach.

W 1935 roku proboszczujący w naszej parafii ksiądz Andrzej Wierzbicki został aresztowany, a kościół zamknięto. W 1937 roku zostałam przyjęta do technikum medycznego na kierunek felczerka-akuszerka. Nauka w nim przez pierwszy rok odbywała się w języku polskim. Od drugiej klasy była prowadzona już tylko po ukraińsku. Gdy przebywałam w Kijowie, mój ojciec 15 lutego 1938 roku został nocą aresztowany. Oskarżono go o antyrewolucyjną działalność, mającą na celu obalenie władzy komunistycznej. Tato był wtedy w kołchozie buchalterem, czyli księgowym. Wziął z kasy kołchozu dwadzieścia pięć tysięcy rubli, by na drugi dzień jechać do Kijowa i zakupić dla kołchozu dwa traktory. W nocy przyszli do niej dwaj milicjanci i oświadczyli mu złowrogo: *Jesteście aresztowani!* Przejrzeli książki ojca i zwrócili uwagę na dzieła Sienkiewicza. Jeden z funkcjonariuszy wziął do ręki jedną z książek pisarza i triumfalnie zawołał: *O to ce dobryj antyrewolucjonier*”. Zabrali go, ale na drugi dzień znowu przyjechali i skonfiskowali całą bibliotekę ojca, twierdząc, że jest to zakazana zagraniczna literatura. Żaden z nich nie umiał, oczywiście, ani słowa po polsku, ale dla polska książka była dla nich dowodem wrogiej działalności. Wystarczającym, by uznać go za „wraga naroda”.

15 listopada 1938 roku ojciec został rozstrzelany w Kamieńcu Podolskim. Nie był jedynym zabranym i zamordowanym z naszej miejscowości. GPU aresztowało i rozstrzelało w Kamieńcu stu osiemdziesięciu mężczyzn. Dla porównania powiem, że na wojnie zginęło dziewięćdziesięciu tutejszych mężczyzn zmobilizowanych do Armii Czerwonej. Stalinowskie represje pochłonęły więc dwa razy więcej ofiar! Niemal wszyscy represjonowani zostali aresztowani na skutek donosów komsomolców. Za każdego „wraga naroda” otrzymywali oni sto pięćdziesiąt karbowanów. Traktowali więc donoszenie jako rodzaj pracy, przynoszącej niezły zarobek bez żadnego wysiłku. Po wydaniu człowieka mieli pieniądze na wódkę i papierosy.